

# ROZMAITOSTCI Warszawskie.

ŚRODA 29 MARCA.

— DODATEK DO KORRESPONDENTA. —

ROKU 1837.

B O B.

(POWIEŚĆ Z NIEMIECKIEGO, P. CZOKE.)

(Ciąg dalszy.)

Hrabianka Zofija była z natury żartobliwą i dowiecipną; śmiała się, żartowała ze mnie, i nie raz tak mnie swojemi ucinkami w kąt zapędziła, że mnie prawie rozpaczal, nie wiedząc co jej odpowiedzieć. W uniesieniu, dla ukarania mojej pięknej sztycy, która tak nade mną tryumfowała, rzuciłem na nią brunatnym bobem. Ten poleciał prostym łukiem i zagroził pięknemu noskowi mojej przeciwniczki, lecz gdy, dla uniknięcia bomby, głowę w tył cofnęła... ach! natenczas mój strzał padł pomiędzy przeguby cienkiej chustki, którą miała na szyi, i wsunął się aż na pierś głęboko. Szczęściem, że to nie była prawdziwa strzata! A przecież przelątkiem się niewypowiedzianie i cały ogniem spłonąłem. Zofija zarumienila się także i wstydlive oczy swoje w dół spuściła. Tu się skończyły i żarty i gra i klótnie. Ja nie byłem w stanie ani słowa wyrzec, a Zofija zaniemiała. Obawiałem się, azalim przez nroją niegrzeczność nie ściagnął jej gniewu na siebie; wejrzałem na nią z bojaźnią, ona podniosła oczy i dała mi poznać swoją urazę. Tego już znieść nie mogłem. Porwałem się z krzesła; ukląknę przed nią boginią, wziąłem jej rękę; i przyłożywszy do ust, błagałem przebaczenia. Nie odpowiedziała mi ani słowa, przecież ręki swej od ust nie odrywała: »Hra-

bianko! droga Zofijo! nie gniewaj się na mnie! Umrę! — zawolałem, — jeżeli nie zyskam twego przebaczenia. Jedynie dla ciebie i przez ciebie żyję! Bez ciebie mój byt jest niczem. Tyś moją duszą, tyś mojem niebem i mojem wszystkim!« — Słowo jedno pociągnęło za sobą drugie. Powiadałem jej wiele rzeczy ze łzami w oczach; ona tego wszystkiego słuchała równie z zapłakanemi oczyma. Domagałem się odpowiedzi, a nie dałem jej słowa przemówić. A, *notà bene!* o trzy kroki od nas stał Pułkownik, chociaż ani ja, ani Zofija, nie postrzegliśmy kiedy wszedł do nas. Mniemam, że się wsunął, jakby upior jaki! Niech z Bogiem odpoczywa. Już jest w rajach.

Wielkim strachem przejął nas jego głos piorunowy, rzucający na nas nieszczęsnych cały poczet nowych i starych regimentowych przekleństw. Ja, powstawszy, zwróciłem się ku niemu. Zofija, nie tracąc bynajmniej przytomności, tóż samo uczyniła. Chcieliśmy się usprawiedliwić, ale nam nie dał czasu do mówienia. »Milezei!« — krzyknął przeraźliwie, jak gdyby, zamiast z dwojgiem grzeszników, miał z dwoma pułkami jazdy do czynienia. — »Ty Zofijo, odjedziesz mi ztąd jutro... a WPan, Panie Podporuczniku, będziesz prosił o uwolnienie od służby, i opuszczysz prowincję; albo, czekać cię śmierć!« — To rzekłszy wyszedł z pokoju.

Muszę tu wyznać, że umiarkowanie tego człowieka przy jego popędliwości na podziwienie zasłu-

guje. Ja przynajmniej mam to za wielką roztrpność, że Pułkownik nas samych zostawił, albowiem mieliśmy jeszcze wiele do powiedzenia sobie. Hrabianka Zofija stała wśród pokoju, z spuszczoną ku pierśmi głową i owisłemi w dół rękami, jak gdyby posąg jaki.

— O Zofijo! — rzekłem, i poskoczywszy ku niej, objąłem ją memi ramiony i przycisnąłem do serca; — Zofijo! teraz cię na zawsze utracę!

— Nie, — odpowiedziała niezachwianym głosem; — nie! nie na zawsze; jak długo tylko iskra życia we mnie będzie, tak długo pamięć o tobie w mem sercu pozostanie!

A to wymówiła takim tonem i takim głosem, że cały na wskrós przejęty zostałem.

— Jestemże tobie cokolwiek miły, droga Zofijo? — zapytałem cichym głosem, i przełożyłem moje ogniem pałające usta do jej lubej, jak róża pięknej twarzy. Nic mi wprawdzie nie odrzekła na to, ale mi oddała nawzajem słodkie pocałowanie. Natenczas nie czułem już pod nogami ziemi, dusza moja uszła z ciała; wleciałem pod nieba; czułem rozkosze Serafinów...! Zofija płakała; jej lzy i westchnienia powróciły mi przytomność.

— Zofijo! — zawołałem z boleścią, i padłszy jej do nóg, uściśnąłem jej kolana: — O Zofijo! poprzysięgam ci, że do ciebie jedynie należę, jak długo tylko tehu w mojem ciele, i dokądkolwiek los mnie zaprowadzi!

Tu nastąpiło milczenie, dusze nasze przysięgały sobie wzajemną wierność. W tej samej chwili upadło coś na ziemię; był-to ów *bób* nieszczęsny, który wszystkich naszych dolegliwości stał się przyczyną. Podniosłem go, a powstawszy i wskazując go Zofii, te do niej wyrzekłem słowa: »Oto jest dzieło przeznaczenia! Zachowam je na pamiątkę dzisiejszego wieczora!«

Hrabianka wzięła mię z uniesieniem w swoje objęcie; jej oczy wydały blask uroczy. »Tak!« — rzekła; — »to jest dziełem przeznaczenia!« — Wymówiła to cicho, pocałowała mię, i odwróciwszy się ode mnie, odeszła do przyległego pokoju.

Zofija nazajutrz rano, albo raczej jeszcze tejże samej nocy, wywiezioną została. Pułkownik był

dla mnie przy każdym przeglądzie z pełną pogardą oziębłością. Podalem o moje uwolnienie, a otrzymawszy je, puściłem się w świat. Dokąd? to było mi obojętne. Przyjaciele dali mi zalecające listy do Petersburga, i opatrzyli mnie na podróż pieniędźmi.

»Są-to zaiste skutki przeznaczenia!« pomyślałem sobie, i jechałem na północ. Zofija była dla mnie na zawsze straconą; nie miałem nic od niej w pamiątkę, prócz bolesnego wspomnienia, i — ów *bób* nieszczęsny. W Królewcu kazałem go w złoto opracować i od czterdziestu dwóch lat noszę go wiernie na moich piersiach.

Otrzymane zalecenia zyskały dla mnie wkrótce stopień Porucznika. Życie moje było dla mnie dosyć obojętne, dla tego zasłużyłem na nazwisko mężego. Potykałem się w Azji i w Europie, otrzymałem zdobycze, sławę, ordery i czego tylko żołnierz pożądać może; a po dwudziestu przeszło latach zostałem Podpułkownikiem. W tym przeciągu czasu podstarzałem się; przygody mojej młodości poszły prawie wszystkie w zapomnienie. *Ale nota bene!* mój *bób*, był dla mnie zawsze równie miły. A gdy po potyczce pod Kinburn, w Limańskiej prowincyi, r. 1788, przez Janczarów pojmany, zostałem; (był-to dzień bardzo gorący; Książę Nassau, to mi-to był wódz!) Janczary obrali mię ze wszystkiego, a przecież ów święty *bób* nie był od nich spostrzeżonym; był on obłany krwią, z mych piersi obficie płynącą. Wtenczas myślałem, że już zakończę życie moje. Byłem przez dwa dni od niewiernych z miejsca na mirjsce włóczony; zawsze jednak ścigała ich nasza jazda. Nareszcie porzucili mię w polu na wpół-umarłego, gdzie mnie przecież nasi znaleźli i ulitowali się nade mną. Gdy mnie do lazaretu przywieziono, musiałem dla zupełnego wyleczenia się powrócić z pierwszym transportem do Moskwy.

Spoczynek i wygoda przypadły mi do smaku, miałem z czego żyć, a przeto życie stało się dla mnie pożądanem. Po dwudziesto-cztero-lętniej służbie i siedmiu chwalebnych ranach, mógłem się spodziewać uwolnienia z honorem. Jako-też w istocie o-

trzymałem je, wraz z pensją; co mnie mocno ucieszyło.

Lecz *nota bene!* nie długo. Moskwa jest przyjemne miasto, ale dla tych, którzy nie są kupcami, nudne i do sprzykrzenia. Petersburg jest piękne miasto, ale cała jego ozdoba nie miała dla mnie tyle przyjemności, abym mógł zapomnieć miasteczka, gdzie w garnizonie przed 24 laty z moim Pułkownikiem de Oberndorf, i *nota bene!* z moją Zofiją, się znajdowałem.

Nic nie miałem do stracenia i pomyślałem sobie: Nie chciałżebyś jeszcze raz widzieć tego miasteczka? i jeżeli to być może, także ulubioną twojej młodości, która zapewne teraz albo już jest babką, albo już nie żyje. Miły Boże! jakże się tam wszystko zmienić musiało.

Tymczasem nadeszły paszporta. Wyjechałem. We wszystkich miastach zwiedzałem, co mogłem, ile że mnie nic nie nagliło. Nareszcie stanąłem w naszym garnizonowym miasteczku... Mój Boże! skorem tylko ową czarną, śpiczastą wieżę, z pozłacaną gałką, ponad szczyty drzew ogrodowych wznoszącą się ujrzał; ach! jakże mi serce bić zaczęło. *Ale nota bene!* nie dla kościelnej wieży, tylko, że natenczas o mojej Zofii myślałem, że może blisko tegoż kościoła jej grób się znajduje... Już mnie tu w mieście nikt nie znał; ćwierć wieku, nie mały skok czasu! Pułk, w którym podówczas zostawałem, już tu nie stał załogą; na jego miejscach stali dragoni. Pułkownik de Oberndorf przed wielu laty umarł; a jego córka miała być w swych dobrach w Morawii, nie daleko Berna, tak mi powiadano; czy jeszcze żyła, nikt mi nie umiał powiedzieć. — No, jakże? nie zechcesz-że i tam się udać! — zapytałem sam siebie; — a choćby ta ślachtetna dusza już nie żyła, wtedy odwiedź jej grób, weźmiesz z niego grudkę ziemi, dasz ją oprawić w złoto, i będziesz nosił zamiast bobu na piersiach swoich.

W Bernie dowiedziałem się z radośnym przestraczem, że jeszcze żyje, że mieszka o pięć mil drogi od tego miasta, w pięknej swej włości, i nazywa się zwszse Hrabianką de Oberndorf.

Czem prędzej udałem się tamże! Pokazano mi piękny dom wiejski, ozdobiony gustownym ogrodem.

— Tam mieszka! — rzekłem do siebie i zadrżałem jak wówczas, gdym jeszcze był Podporucznikiem; a przecież nie drżałem przed Turkami... Wysiadłem z pojazdu. Już widziałem w myśli tego anioła, jak on z urokiem niebiańskiego wdzięku i pomieszany, poznawać mnie będzie. Ach, kobiece serca! czy też mię ona jeszcze kocha? westchnąłem i szedłem przez ogród krokiem niepewności. W cieniu jednej, czerwono kwitnącej akacji, przed wchodem do domu, siedziały dwie już podeszłe damy, i dwie młodsze panienki, czytaniem zajęte. Ale Zofii nie widziałem. Przeprosiłem je za niegrzeczność, żem śmiało sprawić im przeszkodę; mocno się bowiem moją przytomnością zmieszały.

— Kogosz Pan szukasz? — zapytała mnie jedna ze starszych dam. — Czy mogę mieć ten honor złożyć moje uszanowanie Hrabiance de Oberndorf — rzekłem: — Ja nią jestem, — odpowiedziała czterdziesto-letnia; co mię tak zmięszało, iż rozumiałem, żem dostał zawrotu głowy. — Proszę mi pozwolić, abym usiadł; jest mi słabo; coś nie dobrze mi się zrobiło. — I, o rzekłszy, nie czekając odpowiedzi, usiadłem.

Miły Boże! co-za odmiana!... rzekłem myślą. Dokądże uleciała owa piękność kwitnąca!... W tem odzyskałem przytomność i przypomniałem sobie upłyniony przeciąg całego ćwierć wieku. Tak; była to w istocie Zofija; ale Zofija odwkitła!

— Z kimże mam honor mówić? — zapytała mnie. Ach, więc już mnie nie poznała!... Chciałem ukryć scenę poznania przed drugimi damami, i prosiłem o jedną tylko chwilę między czterema oczyma.

Hrabianka wprowadziła mię do domu, a potem do obszernego po lewej stronie pokoju. To, co mi najpierwej w oczy wpadło, był-to duży olejno malowany portret jej ojca. Nie mogłem zdobyć się na słowo; moje serce było ściśnięte. Patrzyłem wciąż na obraz Pułkownika, aż mi łzami oczy zasłyły. — Tak starcze, — rzekłem słabym głosem; — spójrzy jedno na swą Zofiję; ach! tyś nam bardzo wiele złego wyrządził. —

Hrabianka stała przy mnie pomieszana i zdawała się moją deklamacją być przeleknioną. Ja byłem rad uwolnić ją z tego dręczącego położenia,

lecz nie mogłem żadnego więcej przemówić słowa, tak bardzo mnie żal opanował. — Panu nie dobrze jest, — rzekła do mnie Hrabianka, i pomieszana poglądała ku drzwiom. — Ach! i bardzo nie dobrze! — odpowiedziałem z westchnieniem.

— Nie znasz-że mnie już Hrabianko? — Ona, wpatrując się mocno w moje oczy, wstrząsnęła lekko głową. Tu dobyłem z zanadru mój jedwabny sznurek z bobem, ukląknę przed nią i rzekłem: — Ach, Zofjo! znasz-że ten bób, który nas przed dwudziestu pięciu laty tak srogo rozłączył? jam go wiernie zachował... Zofjo! wyrzekłaś podówczas, że jest na świecie przeznaczenie! a ja widzę, że jest w istocie.

— O mój Boże! wykrzyknęła słabym głosem, i odszedłszy ode mnie, rzuciła się na sofę, usiłując zakryć swoją twarz wybladła; ale nie miała już tyle siły. Poznała mię. Widziałem, że mię jeszcze kochała!... Przychodziła w pomoc drugie damy, a wszedłszy przestraszone, ujrzały swą przyjaciółkę wybladłą, a u jej nóg nieznanego oficera na klęczkach. Nim jeszcze wodę i pachnące wódki przymieszono, Hrabianka przyszła do siebie. Przecierała sobie oczy, jakby ze snu oducona. Potem zalała się łez strumieniem, jakby już bez pocieszenia była! Ujęła mię w ramiona, i powtarzała nieustannie imię moje...

Dosyć wam na tem, moi Panowie. Była to chwila, w którejby sami Aniołowie zapłakać musieli. Odtąd nie myślałem już o pożegnaniu. Hrabianka zatrzymała mię u siebie, jako gościa. O! ileż-tonie mieliśmy sobie do powiedzenia! ale bo jakże też ona stale mnie kochała!

A czemu podówczas przeskadzał stary Pułkownik, już teraz ani on, ani jego familija przeszkodzić nie zdołali, cokolwiek wprawdzie nie w porę, ale nie zupełnie za późno. Dusze nasze kochały się jeszcze ogniem młodocianym.

Moje przygody, albo raczej przypadki tego tu bobu, na tem się kończą; ale *nota bene!* nie ze wszystkimi. Mam tu jeszcze to dodać, że dziecię, które moja żona mi powiła, przyniosło z sobą na świat zamię na piersi zupełnie do bobu podobne.

Jest-to szczególniejsze igrzysko natury; ale moją dziewczynka przeto samo tem miłszą jest dla mnie.

Tak opowiadał Podpułkownik; ale ja końca powieści już nie słuchałem. Wszystko się ze mną dookoła obracało; w moich uszach szumiały fale morskie, czasami tylko przebijało się wśród tego szumu imię Józefiny... Dano znać, że pojazd Podpułkownika zaszedł.

— Żadnym sposobem, nie! na to nie pozwolę, — zawołał Radzca Sprawiedliwości; — ja nie mogę pozwolić na odjazd w pośród nocy.

— Dla czego nie? — rzekł mu Podpułkownik; — noc jest widna, najprzyjemniejsza, a światło księżycy dodaje wdzięku.

Zameldowano także i mój pojazd. Wstałem i zbliżyłem się do Podpułkownika, wziąłem go za rękę i zapytałem: — Pan nazywasz się de Tarnau? — On skłonił się i potwierdził moje zapytanie. — Proszę cię, Panie Podpułkowniku, abys noc dzisiejszą u mnie przepędził, — rzekłem, — bardzo mi wiele na tem zależy. Pan nie możesz odjechać, mam z nim o ważnych okolicznościach do pomówienia.

To rzekłem tak śmiało, a razem tak drżącym głosem, że mój starzec nie wiedział, co ma począć ze mną. Mimo tego jednak okazał stałość, i oświadczył, że musi koniecznie powracać do domu. Jego uporczywość prawie mnie do rozpacz przywozowała.

— Pójdź Pan ze mną! — rzekłem i wzięwszy go pod ramię, odprowadziłem prawie przemocą na stronę. Tu wyciągnąłem z mego zanadru sznurek, i pokazałem bób przy nim będący. — Patrz Pan! nie tylko jest igrzysko natury, ale są oraz igrzyska przeznaczenia! Ja także noszę bób na piersiach!

Stary wojownik otworzył oczy szeroko, wpatrzył się w mój klójnot, potrząsł głową, a nakoniec rzekł: Takim talizmanem można nawet i po mojej śmierci ducha mego złożyć! Zostanę, i pojedę z Panem, dokąd tylko sam zechcesz. — To rzekłszy wyszedł z Radzcą dla odprawienia swojego pojazdu. Jednak, żem się u niego niejako w podejrzenie wprowadził, nie omieszkał wypytać się o mnie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)